

Biblioteka Analiz *przedstawia*

ROZMOWY O RYNKU KSIĄŻKI



Rozmowy przeprowadzili:
Piotr Dobrołęcki, Kuba Frołow, Jarosław Górski,
Ewa Tenderenda-Ożóg, Paweł Waszczyk

Biblioteka Analiz
przedstawia

**ROZMOWY
O RYNKU KSIĄŻKI**

Biblioteka Analiz
przedstawia

ROZMOWY O RYNKU KSIĄŻKI

Rozmowy przeprowadzili:
Piotr Dobrołęcki, Kuba Frołow, Jarosław Górski,
Ewa Tenderenda-Ożóg, Paweł Waszczyk

Biblioteka Analiz
Warszawa 2015

© Copyright by Biblioteka Analiz Sp. z o.o., 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie lub reprodukcja jakiegokolwiek fragmentu tej książki wymaga pisemnej zgody wydawcy.

Redakcja: Ewa Tenderenda-Ozóg
Skład i łamanie: **TYPO 2** Jolanta Ugorowska

ISBN 978-83-63879-42-6



Firma jest członkiem Polskiej Izby Książki

Wydanie I
Warszawa 2015

Biblioteka Analiz Sp. z o.o.
00-048 Warszawa
ul. Mazowiecka 6/8 pok. 416
tel./fax +48 22 828 36 31
www.biblioteka-analiz.pl

Spis treści

Wprowadzenie	7
Marek Przybylik (Rozmawiał Piotr Dobrołęcki)	9
Izabela Kuklińska-Kowalska (Rozmawiał Piotr Dobrołęcki)	19
Krzysztof Pindral (Rozmawiał Piotr Dobrołęcki)	30
Erik Jässi (Rozmawiał Piotr Dobrołęcki)	39
Wojciech Szot (Rozmawiał Kuba Frotow)	46
Joachim Kaufmann, Krzysztof Grudziński (Rozmawiali Piotr Dobrołęcki i Paweł Waszczyk)	57
Andrzej Kalinowski (Rozmawiał Paweł Waszczyk)	65
Włodzimierz Albin, Barbara Józwiak, Grzegorz Majerowicz (Rozmawiał Paweł Waszczyk)	70
Wiktor Ostrowski (Rozmawiał Paweł Waszczyk)	80
Anna Włodarczyk (Rozmawiał Piotr Dobrołęcki)	87
Wojciech Bierwiczonek (Rozmawiali Piotr Dobrołęcki i Paweł Waszczyk)	90
Barbara Józwiak (Rozmawiał Jarosław Górski)	98
Piotr Bolek, Mikołaj Topicha-Dolny (Rozmawiał Paweł Waszczyk)	101
Janusz Przeorek, Rafał Tyksiński (Rozmawiali Piotr Dobrołęcki i Paweł Waszczyk) ..	109
Mariusz Rutowicz (Rozmawiał Paweł Waszczyk)	115
Rafał Skąpski (Rozmawiał Piotr Dobrołęcki)	128
Wojciech Gustowski (Rozmawiali Paweł Waszczyk i Ewa Tenderenda-Ożóg)	133
Maria Kulik (Rozmawiał Paweł Waszczyk)	142
Przemysław Schmidt (Rozmawiał Piotr Dobrołęcki)	150
Jerzy Okuniewski (Rozmawiał Piotr Dobrołęcki)	159
Marek Dobrowolski, Anna Gajewska (Rozmawiał Paweł Waszczyk)	162
Kazimierz Leki (Rozmawiał Paweł Waszczyk)	175
Beata Gutowska (Rozmawiali Paweł Waszczyk i Ewa Tenderenda-Ożóg)	182
Michał Włodarczyk (Rozmawiał Piotr Dobrołęcki)	195
Janusz Fogler (Rozmawiał Piotr Dobrołęcki)	206
Daniel Krzanowski (Rozmawiała Ewa Tenderenda-Ożóg)	218
Daria Kielan (Rozmawiał Piotr Dobrołęcki)	221
Basia Basiewicz-Borowska, Marta Szelichowska (Rozmawiał Piotr Dobrołęcki) ...	228

Wprowadzenie

Czternasty tom rozmów, które pierwotnie drukowane były przez cały 2014 rok w dwutygodniku „Biblioteka Analiz” przynosi wywiady z: wydawcami, księgarzami, papiernikami, drukarzami, a także osobami kierującymi ważnymi instytucjami kultury jak: ZAiKS, Copyright Polska czy Polska Sekcja IBBY. Rozmowy z przedstawicielami firm małych i dużych, a także wielkich międzynarodowych koncernów jak Heidelberg czy Stora Enso. Także z przedstawicielami sklepów internetowych, firm związanych z nowymi technologiami, z dystrybucją czy przygotowaniem treści cyfrowych.

Nigdy nie ingerujemy w tekst autoryzowanych rozmów, nie ma tu żadnych skrótów ani zmian, choć czas zweryfikował część zapowiedzi i prognoz. Wywiady, które otwierają każdy numer „Biblioteki Analiz”, z jednej strony zawsze poruszają tematy „gorące”, a więc aktualne wydarzenia na rynku, z drugiej – dotyczą problemów uniwersalnych. Nawet po wielu miesiącach warto wrócić do ocen rynku stawianych przez fachowców. Tematy poruszane w rozmowach w 2014 roku to m.in.: przyszłość dystrybucji książki, abonamentowe systemy rozliczeń sprzedaży, rola organizacji zbiorowego zarządzania, ustawa o książce, przyszłość branż papierniczej i poligraficznej, czy szerzej – książki papierowej, zagrożenia związane ze zmianami w prawie autorskim, zagadnienia digitalizacji kultury. Dużo tematów dotyczy czytelnictwa, zmieniających się preferencji i nawyków czytelniczych, promocji książki. Gorącym tematem był rządowy darmowy podręcznik, który nie tylko zachwiał ekonomią wydawnictw edukacyjnych, ale też stanowi realne zagrożenie dla przyszłości księgarstwa. Obroty w księgarniach spadają, główną formą

promocji są przeceny, obniża się zatem także marża, koszty zaś nie maleją. Brak podręczników w księgarniach może być dla wielu firm ubytkiem, który przechylili szalę, coraz więcej jest doniesień o zamykanych placówkach księgarskich. Co ciekawe, temat darmowego podręcznika powracał w rozmowach bynajmniej nie z wydawcami edukacyjnymi, problem dotyczy bowiem przyszłości całego rynku książki w Polsce.

Rozmowy „Biblioteki Analiz” będą stałym elementem pisma także w 2015 roku, już teraz zapowiadamy zatem kolejny tom, który ukaże się w styczniu 2016 roku. Tymczasem w sprzedaży cały czas dostępne są poprzednie edycje – całość to już ponad 360 wywiadów, blisko 4000 stron tekstu. Lektura głosów z poprzednich lat, przyjrzenie się dominującym tematom – dają dobry obraz przekształceń w branży wydawniczo-księgarskiej. Staje się ona coraz bardziej nowoczesna, coraz bardziej cyfrowa, coraz bardziej skoncentrowana wokół ochrony praw autorskich, a także wizji biznesu przyszłości, kiedy pomiędzy autorem a czytelnikiem swoje miejsce znajdzie nie tylko wydawca i księgarz, ale też dostawca technologii.

Życzymy miłej lektury
Redakcja

Marek Przybylik

Właściciel Oficyny Wydawniczej Przybylik&

Panie Marku, co pana podkusiło, aby założyć wydawnictwo?

Zgodnie ze starą anegdotą odpowiem pytaniem na pytanie. Dlaczego pan ze mną chciał rozmawiać? Nie zna pan innego wariata, któremu odbiłoby na stare lata?

Wariatów podejmujących się wydawania książek, albo entuzjastów, mówiąc bardziej elegancko, są w Polsce tysiące...

Ma pan na myśli grafomanów, którzy tworzą wydawnictwo, aby wydać własną książkę?

Nie tylko, ale niewielu z nich ma tak rozpoznawalne nazwisko jak pan...

To nie moja wina! Nazwisko mam przypadkowo. Jak pisałem, to starałem się tak to robić, aby ludzi nie denerwować a przy tym zrobić im przyjemność, a niedawno zupełnie przypadkiem trafiłem do telewizji, gdzie mówię to co myślę.

I jeszcze pana za to chwałą!

Nie słyszałem tego!

Był pan rozpoznawalny już wiele lat temu, chociażby jako „król prasy” na warszawskim Ursynowie...

To nie był mój pomysł tylko znanego wówczas, nieżyjącego już dziennikarza Andrzeja Ibisa-Wróblewskiego, który mieszkał na Ursynowie do

końca swoich dni. Sam też tam mieszkałem, ale krótko. W połowie lat osiemdziesiątych Andrzej, zwany „Wróblem”, uparł się, żeby robić gazetę ursynowską, bo wtedy na Ursynowie były tylko bloki, ale bez ulic, szkół, sklepów, kościołów, telefonów, komunikacji, kiosków itd. Andrzej postanowił założyć gazetę, pewnie dlatego, że nie wiedział, że tego nie da się zrobić. Takie to były czasy. Wykonał jednak wszystko by gazeta się ukazała i dzięki jego uporowi już po trzech latach (dziś założenie gazety to kwestia dwóch tygodni), powstało „Pasma”. I to w tak skomplikowanej strukturze, że dzisiaj nikt tego nie zrozumie. W każdym razie została zawieszona między Ursynowskim Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym a RSW Prasa i do końca nie było wiadomo, co to jest. Byłem redaktorem naczelnym gazety, czyli w sumie... wszystkim! Na siedzibę redakcji od spółdzielni mieszkaniowej dostaliśmy „kanciapę” chyba po pralni i jakoś ruszyło. Policzyliśmy, że na Ursynowie mieszkało wówczas 160 dziennikarzy, ale niewielu z nich chciało do nas pisać. Postawiłem więc na amatorów, których teksty redagowałem wykorzystując kolegów i własne doświadczenie. Skracanie tekstów było wtedy moim zawodem. Amatorzy z sąsiedztwa plus kilku prawdziwych zawodowców i powstała gazeta lokalna prawie taka jaką sobie wyobrażaliśmy!

Własna gazeta na Ursynowie była wielkim ewenementem...

Sensacja była duża! Poczulem nawet smak sławy międzynarodowej, bo po tej stronie Łaby niczego takiego wówczas nie było, więc do izby przy ul. Hawajskiej przyjeżdżali zadziwieni korespondenci z „Washington Post”, „New York Times” czy z „Le Monde” i innych wielkich tytułów światowych.

Czyżby pan w ten sposób rozwał system komunistyczny?

Nie jestem aż tak głupi, aby sobie to przypisywać, to była zwykła praca organiczna. No i przede wszystkim to nie ja założyłem „Pasma”, ale Andrzej Ibis-Wróblewski, a ja zostałem tylko redaktorem naczelnym. Gdy Andrzej na korytarzu redakcyjnym spytał mnie czy znam kogoś na to miejsce, sam się zarekomendowałem. Czyli sam się mianowałem!

A pan Andrzej ucieszył się?

Ucieszył się, bo nie musiał szukać dalej. Wie pan jaka to jest radocha, jak się znajdzie takiego frajera! Dla mnie jednak praca była bardzo fajna a przy tym niezbyt obciążająca. „Pasma” drukowaliśmy w tej samej dru-

karni co „Życie Warszawy”, gdzie pracowałem, a ludzie z redakcji „Życia” nam pomagali. Do tego „Pasma” przyciągnęło wielu ludzi, którzy ciekawie pisali. Dziś, to mało kto pamięta ale dzięki Ibisowi „Pasma” choć było tygodnikiem lokalnym było też jedyną ukazującą się w Polsce gazetą, która regularnie drukowała poezję!

Poezję lokalną?

Josif Brodski nie mieszkał na Ursynowie! Ale jego tłumacz czyli Andrzej Drawicz mieszkał obok i w „Paśmie” ukazało się pierwsze w Polsce tłumaczenie Brodskiego w prasie legalnej! Roman Śliwonik i Zbigniew Jerzyna mieszkali, ale to też nie byli poeci lokalni.

Jaki był nakład „Pasma”?

Początkowo około 7000 egz. i wtedy jeszcze to pismo było sprzedawane, a nie rozdawane bezpłatnie.

Co było dalej?

Na początku lat dziewięćdziesiątych pojechałem do Anglii na stypendium Thomson Foundation i w Cardiff zobaczyłem gazetę „Cardiff Independent”, o nakładzie 200 tys. egz. kolportowaną za darmo. Tknięty przeczuciem dokładnie się wypytałem, jaka jest organizacja tej gazety i na czym to polega. Gdy wróciłem na Ursynów, inflacja sięgała kilkudziesięciu procent miesięcznie, a „Pasma” przynosiło duże straty. Miałem więc dwa wyjścia – przejąć „Pasma” jako własną gazetę. Z takimi stratami, każdy pozbyłby się go nawet za darmo. Wybrałem jednak drugie wyjście, bo skrupuły i więzy koleżeńskie itp. Zacząłem wszystkich wokoło namawiać, by przemienić nasz tygodnik w gazetę rozdawaną za darmo. Były wątpliwości. Pytano, jaki szacunek będzie miała gazeta rozdawana za darmo? A ile szacunku ma gazeta, której nikt nie czyta. Uparłem się... No i poszło...

„Pasma” więc się zmieniło, dostosowało do nowych czasów...

Wymyśliłem tę nową gazetę, system kolportażu, namówiłem młodych ludzi, którzy mieli firmę zajmującą się oknami, żeby się tym zajęli. Ustaliłem też nakład, co nie było trudne, był taki, jak liczba mieszkań na Ursynowie, czyli ok. 40 tys. Nowa gazeta już po dwóch numerach w nowym kształcie zaczęła przynosić dochód! Stało się tak, bo w Polsce rozlułała się przedsiębiorczość, a „Pasma” było jedynym powszechnym

w tej dzielnicy nośnikiem informacji i reklam. Wszyscy, którzy prowadzili działalność usługową i handlową chcąc nie chcąc musieli ogłaszać się w „Paśmie”.

Czyli sukces?

W tym samym czasie zaproponowano mi, abym został redaktorem naczelnym tygodnika „Szpilki”. Ładnie to brzmi, ale chodziło o to, abym reaktywował ten słynny periodyk. Podekscytowany prestiżową renomą „Szpilek” porzuciłem pieniądze, jakie mógłbym uzyskać z „Pasma”, na rzecz sławy. I tak wiele razy jeszcze porzucałem coś na korzyść czegoś, co było ulotne. Do dzisiaj mi to zostało!

Wróćmy jednak do mojego pierwszego pytania – co pana podkuśliło, aby zostać wydawcą książek?

To wszystko jest ze sobą powiązane. W „Szpilkach” naprawdę spodobało mi się redagowanie. Potem wydawałem dziennik „Życie Codzienne”, a potem jeszcze „Życie Nasze Codzienne”. Z Janem Rurańskim robiliśmy je przez trzy lata i z powodów nieekonomicznych gazeta przestała się ukazywać. A ja w ten sposób wybiłem się na niepodległość!

Czyli został pan na lodzie?

Kiedy „Życie Codzienne” kończyło swój żywot, to wszyscy świetni młodzi ludzie, którzy przez kilka lat z nami pracowali, znaleźli pracę. Ja wybrałem najtrudniejszą chyba drogę, przestałem się starać o etatową pracę i zacząłem samodzielny byt gospodarczy. Pisywałem do przeróżnych pism, chodziłem do radia czy telewizji – czyli byłem kimś w rodzaju freelancera. Wydawałem gazety, potem przez lata robiłem zrywane kalendarze, takie jak dawno temu wydawała Książka i Wiedza. Robiłem je po swojemu i na zamówienie różnych banków, firm ubezpieczeniowych, i innych, a ostatnio firmy Dilmah. Moje kalendarze miały poziom – zawierały teksty takich autorów jak: Wojciech Młynarski, Marek Kondrat, czy Stanisław Tym, Jan Rurański, Jerzy Iwaszkiewicz. Były też przepisy kulinarne Piotra Adamczewskiego oraz rysunki Henia Sawki i Zbigniewa Jujki! Myślę, że były interesujące.

Pana wydawnictwo nazywa się Oficyna Wydawnicza Przybylik &. Co oznacza ten znak na końcu, może chodzi o to, że poszukuje pan współników?

Ten znak & po Przybyliku w nazwie wydawnictwa ma bardzo szerokie znaczenie.

Może krewni i znajomi królika?

Całe stado królików. Rodzina, znajomi, przyjaciele, koledzy i jeszcze dalej. Wie pan, ja się na literaturze prawie nie znam, na książkach też nie za bardzo, więc warto mieć kogoś kto podpowie i doradzi.

Może pan jednak czyta książki?

Czasem czytam. Czytam, bo mnie interesują. Zawsze uważałem jednak, że wydawanie książek to prosta droga do bankructwa. Gdy człowiek wchodzi do jakiegokolwiek księgarni, to patrzy i myśli – o rany ile tego jest! Kto to kupi? Jak to sprzedać? To nie może się opłacić. Tak myślałem przez wiele lat, a dziś uważam, że wówczas nie wykazałem się rozsądkiem. Teraz doszedłem jednak do wniosku, że jeżeli ludzie te wszystkie książki wydają, to niektórzy przynajmniej na tym zarabiają. Pchany więc pychą oraz złudnym przekonaniem i zbyt spóźnioną oceną rynku powiedziałem sobie, że – ach! – może ja też coś wydám. No i tak zostałem wydawcą – tak mi się przynajmniej wydaje...

Kiedy pan to zrobił?

Ze dwa lata temu. Wcześniej miałem szczerą chęć zrobienia sobie żartu i wydania własnym sumptem własnej książki czyli „Dnia targowego”, składającego się z moich felietonów publikowanych w „Życiu Warszawy”. Byłbym takim modelowym grafomanem, który sam pisze, sam wydaje i sam czyta. Policzyłem sobie jednak ile mnie to będzie kosztować oraz ileż tych książek mogę sprzedać. Nawet jeśli wszyscy znajomi te książkę kupią, to na sprzedanie więcej niż 300 czy 400 egz. nie mam co liczyć. Dodałem co było do dodania, pomnożyłem, podzieliłem i wyszło mi że byłby to drogi żart. To co miałbym zapłacić za wydanie książki wystarczyłoby mi na kilka wyjazdów na narty. Akurat jednak nadarzył się pan Tomasz Raczek, który zaryzykował i udowodnił mi, że źle odrobiłem rachunki.

I do tego było honorarium autorskie...

...które terminowo otrzymałem! A ponieważ za wszystkie teksty z tej książki już raz mi kiedyś zapłacono, była to czysta przyjemność!

Ale musiał pan zredagować dawne teksty?

Zrobiła to Anna Nastulanka, z którą „kooperowałem” jeszcze w czasach „Szpilek”, mająca niebywały talent do redagowania. Sprzedało się ponad 5000 egz. – z dodrukiem – i książki nie ma już w księgarniach. Przekonałem się wtedy, że nawet taka z pozoru cegła może się dobrze sprzedać.

Zdecydował pan jednak, że sam będzie wydawać...

Pomyślałem wtedy, że może wydam i że będę wydawcą, ale co tu wydać? Sam wchodzę w poważny wiek emerytalny, zajęć miałem coraz mniej, bo porzuciłem zajęcia na Uniwersytecie Warszawskim. Uczyłem dziennikarstwa, choć jestem wrogiem szkół dziennikarskich, ale uczyłem w Instytucie Kultury Polskiej. Gdy zaczynałem, doszedłem do wniosku, że nie ma sensu teoretyczne uczenie dziennikarstwa, więc dla swych studentów prowadziłem gazetę o nazwie „Uniwersytet”, chyba jedyną regularnie i punktualnie – co miesiąc – ukazującą się gazetę na polskich uczelniach, wydawaną przez studentów dziennikarstwa. Nasz „Uniwersytet” był typowo lokalną gazetą z krótkimi informacjami, zawierającą informacje „tu i teraz” – co się dzieje na Uniwersytecie Warszawskim i w bliskich studentom okolicach. Były to warsztatowe ćwiczenia z pisanja informacji. Kilkaset osób przez to przeszło i wielu z nich spotykam w różnych gazetach czy radiach, a jedna z mych studentek pracuje w zespole „Szkła Kontaktowego”.

Ale co było z tym pana wydawaniem książek?

Poczyliłem pewne kroki, aby uruchomić wydawnictwo książkowe, gdy pewnego wieczoru, tuż przed „Szklę Kontaktowym” Grzegorz Miecugow powiedział mi, że Magda Jethon poprosiła go, aby napisał sztukę na pięćdziesięciolecie radiowej Trójki. Poradziłem mu, by napisał powieść, z której Wojtek Zimiński zrobi scenariusz, a ja tę powieść wydam. I tak się stało. On napisał, ja wydałem, a sztuka szła z sukcesem w Teatrze Syrena, nawet niedawno, w połowie grudnia, zagraliśmy ją po raz ostatni i to na scenie Sali Kongresowej. Proszę sobie wyobrazić, że cała widownia była pełna! Książka Grzegorza Miecugowa porażką wydawniczą nie była.

Była to pierwsza książka pana wydawnictwa?

Pierwsza książka wydana jako „Przybylik i” czy „Przybylik and” czy jak by to & zwać! Zresztą można sobie nazywać różnie. Potem wydałem

przewodnik na Euro 2012 po Ukrainie, który napisał Piotr Pogorzelski – świetnie napisany, barwny, bardzo dobry przewodnik, ale Empik akurat wtedy nie przyjmował książek do sprzedaży. Podobnie było, gdy ukazał się wcześniej mój „Dzień targowy”. Gdy wydałem trzecią książkę, tym razem autorstwa Stefana Szczepłka, to Empik dalej nie przyjmował książek. A Stefan Szczepłek jest dziennikarzem, który świetnie pisze, ma też poczucie humoru, ma dystans do tego, co pisze, kocha piłkę przez całe swoje życie jak wariat. Potrafi się też z siebie śmiać. Zebrałiśmy jego felietony i wydaliśmy je w tomie zatytułowanym „Zonglerka” – piłkarze grali na Euro, Marek Kondrat czytał fragmenty w Polskim Radio i choć dalej uważam, że książka jest świetna, to było pięknie jak w Greku Zorbie. Takie mam wzloty i upadki! Druga książka Grzegorza Miecugowa – wywiady z „Innego Punktu Widzenia” rozeszła się bez udziału Empiku, co oznacza, że istnieje czytelnicze życie poza tym molochem.

Teraz ma pan jednego dystrybutora...

Wszyscy wiedzą, że wydawanie książek jest bardzo łatwe, ale sprzedawanie ich jest bardzo trudne. Można je sprzedawać jak mój ulubiony wydawca książek – czasem spotykam go w pobliskiej galerii handlowej i w innych miejscach, gdy sprzedaje własne książki, taśmy filmowe lub taśmy z piosenkami. Sam pisze, sam wydaje, sam sprzedaje. Bardzo mi się to podoba, ale sam bym tak nie potrafił. Musiałbym po pierwsze przemóc wstyd, bo – wbrew pozorom – nie mam łatwego kontaktu z ludźmi. Proszę się nie uśmiechać, ale taka jest prawda. Po drugie – musiałbym wydawać w nakładzie 10, 20 czy 50 egz., co mi się zdarzało w dzieciństwie, ale teraz by mnie nie bawiło. Zrobiłem więc rozeznanie i polecono mi firmę braci Olesiejuków. Znałem życiorys pana Jacka Olesiejuka, który jest imponujący i życzyłbym każdemu takiej siły woli i chęci doskonalenia się oraz umiejętności robienia interesów.

Został pan więc wtajemniczony...

Zostałem wtajemniczony, choć to żadna tajemnica, jednak rady życzliwych ludzi są ważne. Większość tego co robiłem i co się udało, było efektem wsparcia przyjaciół. Sporo przedsięwzięć firmowałem swoim nazwiskiem, jak to było w przypadku „Szpilek” czy „Życia Codziennego”, ale zawsze była to praca zespołowa.

Dzisiaj nie martwi się pan już o sprzedaż i każdą wydaną książkę oddaje pan braciom Olesiejukom do dystrybucji...

Oddaję książkę do firmy braci Olesiejuków i to jest chyba naturalne, w końcu to najważniejszy dystrybutor książek. Moja oficyna wydawnicza jest przedsięwzięciem jednoosobowym, co oznacza, że jako jedyny podejmuję ryzyko finansowe. Ale wszystkie czynności wykonują fachowcy, dbam o to by byli to fachowcy najlepsi od redakcji, na projekcie poczynając, a na druku kończąc. Nie mam dużego doświadczenia, ale wiem, że na wspólnym przedsięwzięciu wspólnie się zarabia, no może poza wydawcą. Wszyscy inni muszą swoje wynagrodzenie otrzymać i to na czas.

Ma pan „zabezpieczone tyły” i otrzymuje pan pieniądze za sprzedane książki...

Za sprzedane!

Czy jednak bracia Olesiejukowie weszli kapitałowo do pana wydawnictwa?

Nie, nie! Nie byłem taki bezczelny, by jako człowiek z zewnątrz i znikąd przyjść do takiej potęgi rynku wydawniczego zaproponować: panie Olesiejuk, chciałbym wydać książkę, czy mógłby ją pan sfinansować? I tak nadal dziwię się, że pan chce ze mną na ten temat rozmawiać. Ja naprawdę jestem outsiderem w tym biznesie.

Pojawiają się w nim jednak takie zjawiska jak pana wydawnictwo, tacy kolorowi outsiderzy...

Powiedział pan kolorowy outsider? Bardziej jestem outsiderem z racji wieku – jeżeli zaczyna wydawać książki ktoś, kto żyje z emerytury, to na pewno musi mieć coś w nieporządku z głową! A na pewno musi mieć bardzo tolerancyjną rodzinę!

Czy z tym dobrym i szanowanym dystrybutorem uzgadnia pan, jakie tytuły będzie wydawać?

Uzgadnianie to zbyt dużo powiedziane. Mówię, jakie mam pomysły na nowe tytuły.

A on mówi: zostaw to, bo się nie sprzedaje!

Nie, nie! Raczej mówi mi: fantastycznie, świetnie, doskonale! A potem ja mówię mu, że tego nie wydaję, bo przyjaciel napisał książkę, ale in-

ny wydawca ją przejął. Okazuje się czasem, że prawa do czegoś ma ktoś inny i tyle. Takie jest życie! Ponieważ nie jestem kłótniwy, to dbam, aby zachować dobre relacje z przyjaciółmi.

Jak pan podsumowuje kończący się rok?

Jak panu powiem, że nie wiem, to wyjdę na idiotę! Jeżeli posumować wszystkie aktywa z tego roku, to powiem, że aktywa pozabiznesowe są bardzo duże. Wydaję książki, w ten sposób poszerzam sobie środowisko o nowych znajomych, ludzi, z którymi mogę sobie porozmawiać, a kulturalne rozmowy zawsze sprawiają mi przyjemność. I to snobistyczną przyjemność, bo jeżeli spotykam reżysera Janusza Majewskiego, panią Zofię Kucównę, czy Eustachego Ryłskiego i innych znanych i uznanych i mogę przy nich i z nimi wypić kawę czy pogawędzić przy śniadaniu, to cieszę się jak dziecko! Bez żartów mówię – wydawanie książek to hobby, które dodaje mi wartości. Do aktywów też należy spotkanie się z czytelnikami czy to na targach książki, czy na spotkaniach autorskich, co też jest miłym zajęciem.

Pięknie pan to opisał, ale stawiam dramatyczne pytanie – czy dołożył pan do swego wydawnictwa w mijającym roku?

Jeżeli wszystko się zamknie tak jak przypuszczam, to w tym roku prawdopodobnie nie poniosłem straty! Ale będę o tym wiedział na pewno, jak się rozliczę z dystrybucją. Do tego wydałem dwie ładne książki, bo takie już tylko chcę wydawać – nie tylko dobre, ale i ładne. Jedną z nich jest zbiór nieznanych u nas dotychczas szkiców Jaroslava Haška „O Podhalu, Galicji i... Piłsudskim”.

Jaki był nakład tej książki?

Ostrożny! Pierwszy rzut to 3000 egz., a po miesiącu dodrukowałem drugie tyle. Poprzednio wydrukowałem książkę Grzegorza Miecugowa w nakładzie 3000 egz. i też już zamówiłem dodruk. Jeżeli są dodruki, to znaczy że strat nie poniosłem. A jeżeli były straty, to za niewiedzę, za karę. Zawsze trzeba zapłacić frycowe.

Co będzie w nowym roku?

Mogę zapowiedzieć wydanie felietonów kulinarnych Piotra Adamczewskiego z „Polityki”, a o reszcie nie będę mówił. W planie jest wydanie dwóch, trzech, a może i czterech książek.

Jest pan sam w całym swoim wydawnictwie?

Nie, o czym świadczy przecież ten znaczek & po moim nazwisku w nazwie wydawnictwa. Pracuję z wieloma osobami. O Annie Nastulance już mówiłem, Anna Zagrajek jest moim ulubionym grafikiem, zrobiła tom Haška i „Inny punkt widzenia”. Logo wydawnictwa, które wydaje mi się, że jest niebrzydkie, zrobił Mariusz Gładysz, grafik, który ze mną pracował przez parę lat. A do tego dochodzą fachowcy, którzy doradzają mi w kwestiach drukarskich, promocyjnych, marketingowych itp. Jest to więc wydawnictwo jednoosobowe otoczone dużym gronem przyjaciół, którzy zajmują się wszystkim. Jak powiedziałem, nie znam się na literaturze, nie znam się na książkach, uczę się tego i dlatego mam tłum podpowiadających!

Rozmawiał Piotr Dobrołęcki

Izabela Kuklińska-Kowalska

Sales Director Printing & Reading w Stora Enso Polska

Zacznę od tego, że twoje nazwisko kojarzy się bardzo historycznie z płk. Ryszardem Kuklińskim, ale jest też jeszcze lepiej kojarzone w branży poligraficznej przez starsze pokolenie drukarzy – dzięki twojemu ojcu, który jest dobrze wspominany...

Tak, mój ojciec Bohdan Kukliński był poligrafem i to prawdziwym! Pracował w Domu Słowa Polskiego w Warszawie, był dyrektorem naczelnym tej drukarni od 1981 roku, po przemianach „solidarnościowych”. Wcześniej był dyrektorem produkcji.

Czy miało to wpływ na ciebie? Wychowałaś się w drukarni?

Naprawdę tam się wychowałam! Często tam chodziłam, chociaż nie tyle ja byłam w drukarni, co drukarnia była u nas w domu. Nie sposób było oddzielić życia rodzinnego od życia zawodowego mojego ojca. Był odpowiedzialny za ponad 2000 osób pracujących w drukarni, którą kierował. Jednak mam złe skojarzenia z poligrafią i produkcją, z tym całym ojcowskim stresem, jak wspominam swoje dzieciństwo, bo drukarnia zabierała mi ojca. Zmarł 7 stycznia w 1990 roku w wieku 51 lat. Tą są już 24 lata bez ojca. Po jego śmierci starałam się trzymać z dala od poligrafii, ale nie udało się, bo los lubi płatać figle. Gdyby wtedy ktoś mnie spytał, co chciałabym robić w życiu, to powiedziałabym, że absolutnie nic związanego z poligrafią.

Nie poszłaś więc na studia poligraficzne...

Nie poszłam. Skończyłam germanistykę, uwielbiam język niemiecki. Bardzo kocham książki i literatura była mi od zawsze bliska. Tak się zło-

żyło, że po studiach związałam się z wiedeńskim oddziałem biura sprzedaży koncernu Stora oraz firmy Feldmühle – w zamierzchłych już czasach.

Język niemiecki był bardzo ważny...

Język był ważny, ale – co nie ukrywam – również koneksje i znajomości ojca, jako klienta tych papierni, a jego – czyli moje – nazwisko otwierało drogę. Jednak trafiłam do pierwszej pracy już po śmierci ojca.

Czyli pracujesz całe życie w jednej firmie, tylko firma się zmienia...

Firma bardzo się zmieniała, następowały kolejne i znane ogólnie fuzje w papiernictwie. Gdy zaczynałam, było to niezależne biuro sprzedaży, które handlowało najróżniejszymi papierami, łącznie z papierem toaletowym, i ze względu na lokalizację w Wiedniu, obejmowało cały bliski nam region, a głównie Polskę, Czechy, Węgry, Rumunię. Potem warszawskie biuro stało się niezależnym biurem sprzedaży, tak jak i biuro w Pradze i w Budapeszcie. Wtedy zaczęliśmy tutaj swoją przygodę ze sprzedażą już na miejscu w Polsce i dołączyłam w 1997 roku do firmy jako prawdziwy pracownik etatowy. Ponad rok temu – w 2012 roku – obchodziłam piętnastolecie pracy w Warszawie. Czas pędzi!

Korzystasz pewnie jednak w pracy bardziej z języka angielskiego niż niemieckiego?

W koncernie językiem roboczym jest język angielski, ale na terenie Niemiec są nasze papiernie i to niemało. Naturalne jest więc, że z ludźmi z tych papierni rozmawiam po niemiecku, ale ze Skandynawami po angielsku.

Fińskiego jeszcze się nie nauczyłaś?

To jest bardzo trudny język! Oprócz terve, czyli powitania, oraz kitos, czyli dziękuję, raczej nie znam innych słów po fińsku. Mam pełną pokorę przed tym językiem.

Dzisiaj koncern nosi nazwę Stora Enso...

Tak, bo w 2000 roku nastąpiła fuzja szwedzkiej firmy Stora i z fińską Enso. Od tego czasu jesteśmy pod wspólnym szyldem jednego z największych koncernów na świecie.

Oferujecie wobec tego tylko własne produkty koncernu?

Tak, to są tylko nasze produkty: papier, karton, drewno z naszych tartaków.

A co znaczą słowa Stora i Enso?

Stora to po szwedzku „wielka, duża”, a Enso chyba pochodzi od nazwiska... Tak więc nie ma jak przetłumaczyć nazwy firmy. Po prostu Stora Enso jest koncernem drzewno-papierniczym.

Środowisko papiernicze od lat walczy z mitem, że papier niszczy lasy...
Jest wiele mitów na tym obszarze. Od wielu dziesiątków lat tworzy się plantacje leśne dedykowane produkcji – w tym papierniczej. Nie chodzi o wycinanie dżungli czy innych wspaniałych zasobów starodrzewu, tylko właśnie o plantacje.

Wróćmy jednak do papieru. W ostatnich latach najbardziej zwiększa się zapotrzebowanie na papier do produkcji opakowań przy drastycznych spadkach zapotrzebowania na papiery graficzne...

Jest to spowodowane kilkoma czynnikami. Na pewno ogólnym kryzysem ekonomicznym, który miał miejsce w 2009 roku. Najlepiej widać to na wykresach zużycia papieru, gdzie do 2008 roku linia zużycia faluje, ale wzrasta, jednak w 2009 roku nastąpiło duże, bo ponad 30-procentowe, tąpnięcie! I to w zasadzie we wszystkich gatunkach papieru.

Potem mamy obecne lekkie odbicie w górę...

Ale na pewno zapotrzebowanie na papier systematycznie spada. Jeżeli nawet nie będzie podobnego kryzysu, to oddziałują czynniki ewolucyjne, a więc postęp technologiczny, cyfryzacja i zmieniające się przyzwyczajenia konsumentów. Przy tym widać mniejszy sentyment do papieru i mniejszy sentyment do takiego produktu, jakim jest na przykład gazeta codzienna. Tutaj widać największe spadki.

Natomiast w opakowaniach papierowych widać ewidentny wzrost...

W opakowaniach mimo kryzysu notujemy wzrost i w Europie, i w innych regionach świata. Mamy też nowe mocno rozwijające się rynki, które się emancypują i chcą dołączyć do europejskiego dobrobytu – Chiny, Indie, ale nie tylko.

Opakowanie jest czynnikiem cywilizacyjnym...

Zdecydowanie. Podkreślamy do tego, że opakowania papierowe są ekologiczne. Bo są odnawialne, bo można je oddać na makulaturę i jeszcze raz przerobić – w odróżnieniu od torebek i innych opakowań plastikowych, które zaśmiecają nasz planetę. Na morzach powstają całe wyspy plastikowych śmieci!

Ale ciągle słyszymy straszne mity o papierze...

Jako branża trochę przespaliliśmy czas obalania tych mitów, gdy papier nie był jeszcze tak masowo używany na opakowania, a głównie do druku książek, ulotek i gazet. Wierzmy jednak, że papier nigdy nie zginie. Nastąpi moment pewnego balansu i wtedy zrozumiemy wszyscy, że pewne produkty czy publikacje muszą być jednak papierowe. Nastąpi to, gdy ludzi zmęczy ta wspaniała nowa technologia, którą dzisiaj się tak bardzo cieszymy, traktujemy ją jako nowość i ciągle przyjmujemy kolejne nowinki technologiczne.

Wróćmy do produkcji papieru. W grupie Stora Enso są zakłady papiernicze produkujące papier graficzny, czyli papier do produkcji książek, ale i czasopism...

Book paper czyli papier na książki obejmuje różne gatunki papieru, w tym także bezdrzewny papier powlekany, czyli kredowy. Taki papier produkujemy w dwóch papierniach – w olbrzymiej papierni w Oulu w Finlandii i w papierni Uetersen w północnych Niemczech. Natomiast spulchniony book paper, czyli papier szczególnie dedykowany do druku książek, wytwarzany jest w papierni Anjala w południowej Finlandii. Jak w Stora Enso mówimy o papierze książkowym, to myślimy Anjala, bo papiery książkowe produkowane są tam od 1938 roku.

W wielu papierniach w Europie zamykane są maszyny papiernicze, czy też cała produkcja. Jak jest w Stora Enso?

W Anjala pracują dwie maszyny, chociaż wcześniej było ich więcej. Produkują razem trochę ponad 400 tys. ton papieru i cały czas są w ruchu. W naszym koncernie są jednak inne papiernie, które borykają się ze zmniejszonym zapotrzebowaniem. Powoduje to zamykanie kolejnych maszyn.

Zapewne produkujących papier gazetowy?

Tak jest w szwedzkiej papierni Hylte, gdzie pracowały cztery maszyny produkujące papiery gazetowe, a dzisiaj pracują tam tylko dwie, co oznacza, że połowa mocy produkcyjnych została tam zamknięta. Drugi taki przykład to inna szwedzka papiernia – w Kvarnsveden – gdzie z dwóch maszyn produkujących papier gazetowy oraz papier gazetowy ulepszony dzisiaj pracuje tylko jedna. Tylko w 2013 roku zamknęliśmy w ramach koncernu moce produkcyjne o wydajności ponad 500 tys. ton papieru gazetowego i gazetowego ulepszanego! W tym segmencie pracowały duże i nowoczesne maszyny, były to maszyny „niezyskowe”, w wielu papierniach europejskich znajdziemy o wiele starsze i mniej wydajne maszyny. Dlatego nie takie były powody ich zamknięcia. Zamknęliśmy je dlatego, że patrzymy bardziej perspektywicznie i taką ilość papieru chcieliśmy zabrać z rynku.

Maszyny zostały już sprzedane?

Nie, mają jednak zniknąć. Różnie się w takich sprawach praktykuje. Wcześniejsze zamknięcia, zarówno u nas, jak i u konkurencji, kończyły się tym, że maszyny, jeżeli nie w całości, to co najmniej w wielu częściach, wysyłano do Chin czy do Indii, do krajów azjatyckich, gdzie ciągle drukuje się i czyta dużo gazet.

W Polsce Stora Enso jest bardzo silna, bo ma ogromny zakład...

... w Ostrołęce, bardzo nowoczesny.

Ale produkuje się tam papier przeznaczony na opakowania...

Tak, od samego początku w Ostrołęce produkowany jest papier i karton opakowaniowy.

Nie wchodząc w ten asortyment należy jednak stwierdzić, że uruchomienie tam nowego i ogromnego zakładu w maju ubiegłego roku praktycznie „zjadło” cały krajowy rynek makulatury...

W Ostrołęce produkuje się właśnie opakowania w stu procentach makulaturowe. Jednak jedna papiernia nie byłaby w stanie zmonopolizować całego rynku makulatury. Tutaj nakłada się kilka problemów. Po pierwsze, przy dobrze rozwiniętej zbiorce makulatury i jej odpowiedniej segregacji w naszym kraju, w którym żyje ponad 38 mln ludzi, można zebrać tyle makulatury, aby zaspokoić zapotrzebowania nie jednej, ale kilku takich instalacji jak w Ostrołęce. W Niemczech jest kilka dużych papierni